

J. NIERZWICKI.

Morowe powietrze w Chełmnie i Grudziądzu w latach 1708-1711.

Morowe powietrze lub zaraza morowa, nazwana także dzumą, ukazała się w Europie po raz pierwszy w r. 542 i grasowała przez pół wieku, zabierając niezliczone ofiary. Siedzibą tej strasznej choroby jest Azja, mianowicie stepy nad morzem Bajkalskiem, góryste części Chin i centralna Afryka. Z tych środowisk przedostawała się ta groźna epidemia niejednokrotnie i do Europy, niszcząc w swym zabójczym pochodzie zwierzęta i ludzi. Najbardziej srożyła się dzuma w środkowej Europie w XIV wieku, r. 1348, gdzie jej dano miano czarnej śmierci i w latach 1708—1711. Ludzie marli jak muchy, pustoszały całe obszerne okolice. Ostatnie jej groźniejsze grasowanie w Europie przypada na r. 1899 w Oporto i r. 1900 w Glasgow, gdzie ją rozpowszechniły szczury przywiezione okrętami z innych części świata.

Spustoszenia szerzone przez dżumę w Chełmnie 1708—11 opisali w swej kronice XX. misjonarze, na których zapiskach się też niniejsza praca opiera. Okropna ta choroba wkroczyła na ziemię pruską 20 sierpnia 1708 r., a 3 października ukazała się po raz pierwszy w naszym grodzie, zabijając 2 młodych dziewcząt mieszkających w małym domku naprzeciw zakładu dominikańskiego. Rozszerzając się powoli dalej aż do grudnia, wzmaga się owa zaraza i pochłania liczne ofiary wśród obywatelstwa. Obywatelstwo szuka pomocy i ratunku w modlitwach. Już raz bowiem przed 30 laty doznali mieszkańcy Chełmna osobliwej łaski Nieba, gdy w czasie moru polecili się szczególnej opiece św. Rocha, Fabjana i Sebastjana. Więc i w obecnej ciężkiej potrzebie spodziewali się jedynie przez modlitwy i wstawienie świętych uzyskać łaskę odwrócenia klęski, a to tem więcej, że donoszono z Torunia, iż tam przeważnie padli ofiarą moru Niemcy — protestanci, którzy szydzili z nabożeństwa do św. Rozalji. Zaraza mimo to nie ustawała, i duchowni byli zmuszeni chodzić od domu do domu, od wsi do wsi i udzielać dżumą dotkniętym Sakramentów św. Zmarłe na mór ofiary grzebano na cmentarzu św. Jerzego przed Grudziądzką Bramą bez śpiewu i księdza, bez wszelkich obrządków kościelnych, bez różnicowania stanu i religji. Tak postanowili ojcowie miasta w porozumieniu z duchowieństwem miejscowym. Czterech grabarzy oddawało tę smutną ostatnią przysługę swojej współbraci. W szlachetnem poświęceniu oddały się przedewszystkiem siostry miłosierdzia z kongregacji św. Wincentego a Paulo ciężkiej i niebezpiecznej pielęgnacji zarazy, niosąc pomoc i pociechę, ulgę i pokrzepienie najędźniejszym, od wszystkich opuszczonym. Do niesienia tym nieszczęśliwym pociechy duchownej ofiarował się dobrowolnie ks. misjonarz Paweł Kochański, który wraz z posługującym chłopcem mieszkał w szkole przez całą zimę, gdzie mu wszystkiego do życia potrzebnego dostarczano, gdzie też utrzymywał konia, którym dojeżdżał do chorych na wsi. Miasto pustoszało szybko.

Kto tylko mógł uciekać, kto mógł znaleźć jakiś przytułek lub schronisko poza miastem, ten chował się bez zwłoki na wsi lub pustkowiu. I księża misjonarze porzucali niebezpieczne mury miejskie, przenosząc się na majątność ziemską Łązek, położoną na zachód od miasta. Jako miejsce do modłów i odprawiania nabożeństw służyła im kaplica na górze św. Wawrzyńca. W domu misyjnym w Chełmnie pozostało tylko dwóch księży i jeden braciszek celem odprawiania nabożeństwa dla pozostałych mieszczan. Do kościoła nie wpuszczano ludzi podejrzanych o zarażenie morowe.

Zima z r. 1708 na 1709 odznaczała się nadzwyczajną srogością. Od Wszystkich Świętych aż do 11 lutego panowały tak ogromne mrozy, że ludzie marli na ulicy, żołnierze na posterunku a ptaki kostniały w powietrzu. Lód na Wiśle osiągnął grubość 5 łokci, morze Bałtyckie miało zamarznąć aż na 20 łokci głębokości. Dopiero w kwietniu około Wielkanocy ruszyły lody wiślane i odpłynęły do morza. Oziminy wyginęły zupełnie, zato udały się nadzwyczaj zboża jare, by chociaż w znaczniejszej części powetować straty wywołane lutym mrozem. Już w styczniu sfolgowała dżuma, a na św. Kazimierza wrócili XX. misjon. do miasta i odprawili uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Zaraza ustała, by znowu wybuchnąć jesienią. Mieli ją do miasta zawlec piekarze armji saskiej. Pierwsze jej objawy ukazały się w zakonie franciszkańskim, w ciągu listopada ogarnął mór całe miasto, nie przekraczając jednak jego granic. Wsie nie zostały ten raz katastrofą dotknięte. Znowu przenieśli się XX misjonarze do Łązka, znowu podjął się ks. Paweł Kochański swej ofiarnej niebezpiecznej pracy. Zimą przestała dżuma grasować, a na Gromniczną wrócili uchodźcy do swych siedzib. Jednakże pokój nie trwał długo. Już w marcu wybucha pomór w No-

wejwsi, zabierając tam do połowy kwietnia około 30 ofiar w ludziach. 6 kwietnia wkracza mór znowu do miasta, rozpoczynając swój pochód od ulicy Wodnej, w sąsiedztwie klasztoru dominikanów. Wielki strach padł na mieszkańców miasta. Wśród i naokoło miasta urządzono wielkie uroczyste procesje, ale pomimo wszystko opanowała wszystkich niebywała apatia i determinacja do tego stopnia, że nie mieli ochoty nawet chodzić do świątyń, by tam szukać w modłach ukojenia. Jedni zdawali się jakby pogrążeni w letargu, drudzy zaś pocieszali się tem, że już dwa razy minęła ich ta straszna choroba, to i teraz „jakoś to będzie“. Z niebywałem wprost poświęceniem i heroizmem chodziły koło chorych siostry wincentki, z których wszystkie bez wyjątku padły ofiarą moru. Za niemi nie pozostawały też benedyktynki. Z grona XX misjonarzy zmarł ks. Lilienthal, który jakiś czas pomagał ks. Kochańskiemu, względnie go zastępował. Uderzającym było to, że nieraz ludzie mający częsty i bliski kontakt z chorymi, nie zapadali na zdrowiu, podczas gdy inni, przestrzegający wszelkich środków ostrożności, ulegali łatwo zarażeniu.

Nieustraszonym i nieustrudzonym był wciąż o. Kochański, który udzielał chorym św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza. Nie udzielano im ostatniego namaszczenia a Komunię św. podawano im na długim kiju zawiniętą w papier. Dominikanie i franciszkanie nie udzielali chorym ostatniej pociechy duchownej. W każdej rodzinie oplakiwano zgon kilku członków, niektóre zaś rodziny wymarły zupełnie. W całym mieście pozostał tylko jeden dom, gdzie nie było ofiar w ludziach. Dom ten stał na tem miejscu, gdzie dziś mieści się dom kupca Beyera, naprzeciw gmachu sądowego. Z okolicznych wiosek uszły klęski: Uśc, Brzozowo, Osnowo, Grubno i Wymiary.

Chociaż wnet przekonano się o bezskuteczności środków zapobiegawczych, choć na nic się zdało palenie zwłok, unikanie chorych itp. wydała władza świecka w porozumieniu z kościelną następujące zarządzenia:

1. Każdy winien pojednać się z Bogiem przez Sakramenty św., polecić się Bogu i Jego przykazania spełniać.
2. Każdy powinien ile możności codzień być na mszy św. i wzywać opieki Matki Boskiej i św. Rocha.
3. Wyzbyć się winien każdy wszelkiej bojaźni, ale nie dufać sobie za wiele.
4. Każdy winien się wystrzegać zbyt prędkich ruchów.
5. Każdy winien unikać wiatru dmącego od strony zapowietrzonych.
6. Nie wolno niczego gołą ręką dotykać.
7. Ubrania winny być okadzane, a o ile możności i woskiem pomazane.
8. Nikt nie ma się do swych zajęć udawać z próżnym ani też ze zbyt przeładowanym żołądkiem.
9. Nie wolno rozmawiać z obcemi osobami, ani dotykać się koni obcych osób.

Takie środki zaradcze uchwalono przeciw katastrofalnej chorobie, która nareszcie w lutym r. 1711 wygasła. Ofiary pomoru nie zostały zliczone i zanotowane, ale liczba ich musiała być wielka, jak to wnioskować można z wielkiej ilości kości znajdujących dziś jeszcze na terenie dawniejszego cmentarza św. Jerzego. Wnosić można z tego, że w Chełmnie został tylko jeden dom zarazą nietknięty, podczas gdy w mniejszym wówczas Grudziądzu uszło moru 15 domów, a liczba zmarłych wynosiła tam co najmniej 1000 osób, przeto przypuszczać można, że liczba zmarłych na dżumę w Chełmnie jest daleko większa.

W marcu 1711 r. powrócili wszyscy uchodźcy do miasta. Aby przebłagać Niebo zbudowano u fary wspaniałą wielki ołtarz barokowy, który jeszcze dziś zalicza się do pierwszorzędných ozdób tej świątyni.

I do Grudziądza został mór zawleczony przez obce wojska w czasie trzeciej wojny szwedzkiej. Pierwszy jej wybuch miał miejsce w okolicznych wioskach między Holendrami. Po trzech miesiącach wkroczył ten niepożądany gość na teren miasta wskutek pożywania owoców (cf. Froelich: „Geschichte des Graudenzener Kreises“ Tom II. str. 225). Jako pierwsza ofiara dżumy zmarł członek Magistratu Schroeder, po nim wszyscy muzycy kościoła farnego. W domu organisty zmarła cała rodzina z wyjątkiem najmłodszego niemowlęcia, które znaleziono ssące pierś zmarłej już matki. Jakaś poczciwa kobiecina z Rybaków zlitowała się opuszczonej sieroty i zabrała ją do siebie, wskutek czego wszystkie jej własne dzieci poumieraly.

Zmarłych grzebano przeważnie nocami, chcąc pozostałym oszczędzić okropnego widoku. Przeciw pomorowi używano przeważnie octu, którym się nacierano, kadzono i pito. W ciągu 6 miesięcy zmarło w Grudziądzu 250 katolików. Nie zanotowano liczby zmarłych protestantów, ale ponieważ liczba protestantów była 3—4 razy większą od katolików, przypuszcza Froelich, że zginęło ich jakie 700—1000.

Groźnie przedstawia się więc żniwo śmierci w latach 1708—1711 w Chełmnie i Grudziądzu, ale nie lepiej było i w innych miejscowościach.

Chełmno, 8 stycznia 1931.